
Marzena Filutowska

Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek

Matka przyprowadziła mnie do szkoły w 1977 r. i tak w niej zostałam do dziś. Nie zrobiłam sobie nawet pełnego roku przerwy. Szkołę znam jako uczeń, nauczyciel i rodzic. Mogę powiedzieć, że szkoła to moja pasja. Kiedy byłam uczennicą, myślałam: „Ci nauczyciele to mają dobrze, wszystko im wolno”. Gdy zostałam nauczycielką, zaczęłam zazdrościć uczniom: „Tym, to dopiero dobrze, nic nie muszą”.

W mojej wiejskiej szkole gierkowskiej wcale nie było nudno ani szaro. Nowoczesny budynek miał salę gimnastyczną, w której odbywały się uroczystości szkolne, gminne, a także zabawy sylwestrowe. Obok znajdowała się kuchnia i stołówka. Do dziś pamiętam zapach tamtego chleba. Okrągłe złociste bochenki z chrupiącą skórką, wypiekane w chynowskiej piekarni. Uczniowie z biednych rodzin dostawali zupę za darmo. Chleba było dla każdego pod dostatkiem.

Po trzeciej klasie zmienili nam wychowawczynię. Płakaliśmy jak małe dzieci i długo jeszcze przybiegaliśmy do niej na skargę. Pani Halina (uczyła jeszcze mojego ojca) nas ukształtowała: czasami drwiną, ciągnięciem za ucho lub biciem linijką. Nasza pani rozbudziła w nas ambicje. Jako drużyna zuchowa „Pracowite Pszczółki” wygrywaliśmy konkursy na poziomie szczepu i hufca. „W cywilu”, to znaczy jako klasa, byliśmy „Rodziną Rumcajsa”. Nikt nie siedział sam. Jeżeli ktoś zachorował, koledzy przynosili mu lekcje.

Tak bardzo zakolegowałam się wówczas z Agnieszką, która opiekowała się pięciorgiem młodszego rodzeń-

stwa, że przyniosłam do domu wszy. Dziewczyna z rodziny alkoholików (choć oboje rodzice pracowali), w którym domu nie było prądu, a podłogę ułożyli tylko w jednej izbie, skończyła studia. Ale nasi nauczyciele nie akceptowali byle jakości.

W 1981 r. chodziłam do czwartej klasy Zbiorczej Szkoły Gminnej w Chynowie. Gdy matka zapisywała mnie do zerówki, na budynku był jeszcze napis: Szkoła Podstawowa im. Hanki Sawickiej. Obecnie patronem jest Kornel Makuszyński, a hala sportowa nosi imię Jana Pawła II. Najpierw był bum na komunistów, a potem na świętych.

Zbiorczej, ponieważ do naszej nowoczesnej gierkowskiej szkoły dowożono uczniów z okolicznych mniejszych szkół, do klasy siódmej i ósmej. Woził ich stary, niebieski autobus.

Czasami coś się w nim psuło i uczniowie musieli popchnąć; najczęściej tak było zimą.

Z mojej wsi do szkoły jest ok. 3 km. Chodziliśmy gromadą nawet w dziesięć osób. Żartowaliśmy, opowiadaliśmy sobie książki, filmy i historie o duchach. Wskakiwaliśmy na wóz mleczarza przezywanego „Gagarinem”. Latem jeździliśmy rowerami. W duży śnieg i mróz ojcowie, na zmianę, odwozili nas saniami. Wracając do domu, mierzyliśmy zaspę. Po godz. 15 wpatrywaliśmy się w okna mijanych domów, zastanawiając się, jak będziemy odrabiać pracę domową: przy żarówce czy lampie naftowej?

Pewnego dnia kolega z klasy nazwał mnie „Mucha tse-tse”. Zaczęłam szarpać się z nim na mostku, aż w końcu wrzuciłam jego plecak do rzeki Czarnej, którą płynęły niewielkie kry. On wrzucił mój worek z kapciami. Potem razem łowiliśmy te rzeczy. Grzesiek był mokry, a jego książki jeszcze bardziej. Zaczęłam się bać, bo to syn nauczycielki, a taki z natury miał lepszą pozycję w szkole. Bałam się przyznać mojej matce. Nauczyłam się swoje problemy rozwiązywać sama. Grzesiek zachorował, podobno przeze mnie. Jako dziewczynka nie powinnam sobie pozwolić na takie wybryki. Musiałam codziennie wstępować do niego po szkole i podawać mu lekcje. A że był to rozpieszczony przez mamusię głąb (tak wtedy o nim myślałam; z zazdrością, bo mnie nikt nie rozpieszczał), robiłam za niego większość zadań. W końcu nawet się polubiliśmy. Grzesiek poszedł do Ogólnokształcącego Liceum Lotniczego w Dęblinie. Zginął w wypadku samochodowym szkolnego pojazdu w Wigilię Bożego Narodzenia, tuż po swojej osiemnastce. Odwiedzam jego grób.

Mieliśmy niezłą kadrę, ponieważ pobudowano dom nauczyciela. Wychowawcy zaprowadzali nas do Ośrodka Zdrowia: na badania, szczepienia, przegląd zębów, fluoryzację. W szkole dostawaliśmy tabletki przeciw próchnicy. Higienistka sprawdzała czystość głów i uszu. Nosiliśmy granatowe fartuchy z odpinanymi białymi kołnierzykami.

Ja najbardziej lubiłam starą część szkoły, którą podczas okupacji podpalili uciekający Niemcy. Z dumą chodziłam po drewnianych schodach, ponieważ zrobił

je po wojnie mój dziadek. W tym miejscu było ciekawie również dlatego, że znajdował się w nim kącik Lenina. Zza szklanej gabloty spoglądał na nas tysy pan, któremu na urodziny śpiewaliśmy piosenkę:

*Mieszkał tutaj w Poroninie, u podnóża naszych Tatr.
Dziś piosenkę o Leninie na Podhalu nuci wiatr.*

Poronin był z tego względu obowiązkowym punktem wycieczek w góry.

Pani od rosyjskiego (podobno z Białorusi) organizowała co roku akademie z okazji wybuchu Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Pamiętam wiersz o krążowniku Aurora. Nasza „Sonia” nosiła kolorowe sukienki, malowała na czerwono paznokcie i potrafiła grać na skrzypcach. Była żoną dyrektora – p. Rysia. Mieli trzy śliczne córki. Najmłodsza Anita wychowała się w szkole; miała swój kącik za pianinem. „Sonia” była miła i ciekawie prowadziła lekcje. Założyła drużynę pionierów. Od harcerzy różnili się tylko czerwonym kolorem chust, które zakładali na pierwszomajowe pochody w Grójcu. Obowiązkowo prenumerowaliśmy (oprócz *Płomyczka*) rosyjski *Barwinok*. Należałam do Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Jednak nie działało ono zbyt mocno. Napisałam dwa listy: do Wowy i Tamary, ale chyba nie przysłali nam odpowiedzi. Najładniej wydawaną gazetą, jaką widziałam w kiosku *Ruchu* był *Kraj Rad*. Starsi chłopcy wypatrywali modelek w *Przekroju*, a ja szukałam zdjęć na gazetkę lub do zeszytu z geografii.

Pamiętam, jak w 1982 r. oglądaliśmy, ściśnięci w sali z czarno-białym telewizorem, transmisję z pogrzebu Leonida Breżniewa. Dziwiliśmy się, ile orderów niosą mu na poduszkach. Każdy generał szedł ze swoją. Śmierć Jurija Andropowa w 1984 r. uczciliśmy na apelu minutą ciszy, chociaż starsi uczniowie uśmiechali się i chrząkali. Nie znaczyło to, że nas tak mocno rusyfikowali czy upolityczniali, bo nikomu na tym nie zależało. Po prostu trzeba było działać dyplomatycznie: *Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek*.

2 czerwca 1979 r. z zapartym tchem wypatrywaliśmy na niebie samolotu papieskiego, a potem cała szkoła oglądała transmisję z powitania Karola Wojtyły na Lotnisku Okęcie. Chłop i tak swoje wiedział. Patriotycznym obowiązkiem był doping naszych kolarzy w Wyścigu Pokoju. Przejeżdżali przez Chynów.

Jeden dzień w tygodniu był *mundurowy*. Apele rozpoczynały się meldunkiem gospodarzy klas, składanym dyrektorowi. Każda klasa stała w dwuszeregu. Staliśmy na baczność i śpiewaliśmy hymn harcerski: *Wszystko co nasze, Polsce oddamy...* lub państwowy, w zależności od rangi święta. Lubiliśmy ten dryl wojskowy. Dawał poczucie ładu i bezpieczeństwa. 12 października, w rocznicę bitwy pod Lenino, obchodziliśmy Dzień Ludowego Wojska Polskiego. Pamiętam te akademie, bo na nich występowałam. Znalismy również *Czerwone maki na Monte Cassino* i piosenki powstańczej Warszawy. Zuchy i harcerze opiekowali się grobami żołnierzy Batalionów Chłopskich, pionierzy – grobem radzieckiego żołnierza, który wyróżniał się krzyżem prawosławnym. Przy tych mogiłach i na kopcu partyzantów pełniliśmy honorowe warty.

Pamiętam swoje „Przyrzeczenie Harcerskie”. Nasza drużyna – p. Halina długo nas do niego przygotowywała, poprzez zdobywanie sprawności i postarała się, żeby było wyjątkowe. Biwakowaliśmy w lesie na Edwardowie, 3 km od szkoły. Przyrzeczenie składaliśmy o północy nad ogniskiem (wyróżniony drzewo podpalił je jedną zapałką). Potem śpiewaliśmy w kręgu i *goniliśmy świetlika*. Rano smażyliśmy jajecznicę, szorowaliśmy gary (ze szkolnej kuchni) piaskiem i płukaliśmy je w rzece. Taka to była ekologia.

Raz w tygodniu chodziliśmy po lekcjach na religię. Było to oczywiste, nikt nas nie zmuszał. Nasz modrzewiowy kościół jest najstarszy na Mazowszu. Katecheza odbywała się w piwnicy plebanii. Ksiądz Nowak ciekawie wyjaśniał sens przysłowia i otworzył mój umysł na metaforyczne pojmowanie literatury. Kilka nauczycielek spotykaliśmy w niedzielę w kościele. Nasza wychowawczyni, a zarazem drużynowa, bardzo tego przestrzegała, abyśmy uczestniczyli we mszy św. na biwakach i koloniach.

W szkole rządził dyrektor, wicedyrektor, inspektor, ale najbardziej energiczne panie. Wymogły na dyrektorze, żeby na pogrzebie emerytowanego nauczyciela, który nieraz opowiadał nam o wojnie, wystąpił chór szkolny. Pierwszy raz śpiewałam wówczas przy organach. Pamiętam, że dyrektor nie wszedł wtedy do środka kościoła, chociaż pochodził z religijnej rodziny. Po kilku latach dopiero zrozumiałam przypadkiem usłyszane słowa mojej wychowawczyni i pani Kazimiery, skierowane do przełożonego: „Heniu nie pierdziel, kto cię tu podskarży?” Dziś już nie ma w nas takiego zaufania.

Była między nami rywalizacja. Każdy chciał brać udział w konkursach. Kiedyś polonistka – pani Alicja próbowała mnie zbyć jako szóstkklasistkę. Obiecała, że zgłosi mnie do konkursu recytatorskiego, jak nauczę się na pamięć *Reduty Ordo-na*. Oczywiście w to nie wierzyła. Nie miałam pojęcia, co to jest. Sama szukałam tłumaczenia trudnych słów. Wygrałam etap gminny i wystąpiłam na scenie Domu Kultury w Radomiu. Polonistka zaczęła mnie szanować i otworzyła przede mną perspektywę studiów polonistycznych. Od 10 lat chodzę w Zaduszki na jej grób. Pamiętam, jak omawiała z nami *Testament Słowackiego*. Mówiła wówczas, że pragnie mieć pomnik z kamienia a przy nim cyprysy. Tak się też stało. Żyła skromnie, nie wiem, czy zdawała sobie sprawę, ile dobra we mnie wlała.

A miała przecież rodzinę (syna w naszej klasie) i dużo własnych kłopotów. W ósmej klasie zabierała nas raz w miesiącu do teatru. W sobotę lub w niedzielę jeździliśmy pociągiem do Warszawy. Ja do stacji szłam z koleżanką Hanią 4 km. Wracaliśmy po godz. 24. Wychodził po nas z latarką ktoś dorosły. Młodzież szkolna miała wtedy duże zniżki na bilety. Kupowaliśmy je najczęściej do Teatru Wielkiego. Najtańsze były w łoży. Dzięki swojej polonistce obejrzałam: *Królowną Śnieżkę*, *Zemstę*, *Straszny Dwór*, *Krakowiaków i górali*. Po tamtej estetycznej uczcie nie chce mi się dziś patrzeć na minimalizm. *Halka* – a „na gór szczytach” dwoje aktorów i krzesło. Pani Alicja robiła wszystko, żebyśmy nie mieli kompleksów, idąc do szkoły średniej.

W ósmej klasie wystąpiłam opowiadanie, inspirowane legendą o kościele w Pieczyskach, na konkurs ogłoszony w *Płomyku*. Po wakacjach okazało się, że otrzymałam wyróżnienie. Odbierałam je w Ciechanowie. Zorganizowano tam jakąś uroczystość z udziałem harcerzy. Organizatorzy zapewnili laureatom oraz ich opiekunom nocleg i wyżywienie. Pojechała ze mną autobusem (przez Górę Kalwarie i Warszawę) ciotka Jadwiga. Otrzymałam dyplom, ogromnego misia i 70 000 zł, za które kupiłam sobie kurtkę na zimę. Nie byłam jednak zadowolona. Sądziłam, że wyróżnienie to nic wielkiego. A przecież był to konkurs ogólnopolski. Dyplom zostawiłam w Szkole Podstawowej. Misia oddałam biedniejszym dzieciakom z rodziny. Wychowawca z liceum (matematyk) stwierdził, że szkoły nie obchodzą moje prywatne sukcesy. Tym sposobem podciął mi skrzydła na wiele lat. Ale w trudnych sytuacjach zawsze sobie powtarzam, że jestem ze wsi i mam mentalność Czepca z *Wesela*.

W szkole ciągle się coś działo. Jeżeli było ciepło, ścigaliśmy się na długiej przerwie wokół budynku. Dziewczyny skakały w gumę zrobioną ze starych pończoch. Graliśmy w piłkę lub w palanta. Nad stawem księdza starsi chłopcy wyzywali się na „solowy”, które odbywały się z udziałem gapiów, dopóki nauczyciele się nie zorientowali. Wymykaliśmy się do cukierni.

W okresie kartkowym uczniowie ósmej klasy zauważyli, że witamina „C” smakuje jak cukierki. Jednak aptekarka (matka siódmoklasisty) zwróciła uwagę, że wzrosło zapotrzebowanie i z obawy o nasze zdrowie, przestała nam sprzedawać. Ratował nas jeszcze lodziarz, który przyjeżdżał dwa razy w tygodniu swoim wysłużonym „komarkiem” z Zalesia Górnego. Chłopcy go omal nie przewrócili. Kiedyś dyrektor zamknął szkołę. Siedzieliśmy na przerwie cicho w swojej sali. Nasz kolega Krzysiek wyszedł przez okno i zrobił zakupy dla całej klasy.

Jednego roku Samorząd Szkolny wymyślił, że uczymy imieniny dyrektora. Wszyscy uczniowie składali się na prezent – elegancki brązowy sweter zakupiony w Peweksie. Uroczyste odśpiewaliśmy *Sto lat*. Pan Ryszard chyba musiał długo zbierać bony na cukierki.

W naszej szkole uczyły się podwójne klasy: A i B każdego rocznika. W każdej ok. 25 uczniów. Nauczyciele chcieli mieć trochę spokoju na długiej przerwie, dlatego wpadali na różne pomysły: zabawa w *szczurka* (z liną), piłka ręczna (z sali gimnastycznej dobiegał wtedy straszny huk a chłopakom rwały się piłki), a w 1985 r. włączali nam czarno-biały telewizor i zajmowali nas powtórką odcinka serialu *Niewolnica Izaura*. Wtedy naprawdę było cicho.

Najciekawsze rzeczy działy się w toalecie. Starsze towarzystwo popalało, spisywało prace domowe, wszyscy tam przebiegali się na w-f. Kiedy byłam w szóstej klasie, któryś z ósmoklasistów przyniósł szkolny bestseller – *XIII Księgę Pana Tadeusza* (przepisaną w zeszytach). Tego typu dzieła rozpowszechniało się w kilku egzemplarzach, przepisując przez fioletową kalkę. Ruszyły zapisy dla najstarszych klas na czytanie w kilkuosobowych grupach. Zgodnie z obyczajem, pierwszeństwo mieli chłopcy, bo w tych sprawach powinni wiedzieć więcej. Do naszej klasy te ciekawostki nie dotarły. Pornografię skonfiskował pan Lucjan.

W latach osiemdziesiątych uczyli nas bezpiecznych zachowań na wypadek wojny atomowej. W „Płomyku” oglądaliśmy zdjęcie grzyba po wybuchu bomby i spalonej lalki. Robiło to wrażenie. Na lekcjach przysposobienia obronnego pan Lucjan tłumaczył nam, jak się chronić przed promieniowaniem radioaktywnym. Pan Lucjan uczył również biologii i chemii. Miał pracownię pełną pięknych kwiatów. Wyświetlał nam filmy przyrodnicze na projektorze z dźwiękiem, na który tylko on umiał nawijać taśmy. Gdy byliśmy grzeczni, włączał nam „Reksia” lub „Bolka i Lolka”.

Porównując swoją szkołę podstawową ze współczesną, z przekonaniem stwierdzam, że niczego jej nie brakowało. Zmieniła się nomenklatura. Współczesny wolontariat to dawne prace społeczne. Dyżurni nosili zupy ze szkolnej stołówki opuszczonemu przez rodzinę staruszkowi, który mieszkał na Księżyzynie. Ósmoklasiści chodzili z wychowawcą na wykopki do starszego małżeństwa. Zbieraliśmy i rwaliśmy jabłka w Państwowym Gospodarstwie Rolnym w Drwalewie. Pożyczali nam za to autokar na wycieczki. Nie używaliśmy pojęcia: *ekologia*, ale byliśmy zapisani do Ligi Ochrony Przyrody. Zbieraliśmy żołądź i orzechy dla zwierząt. Robiliśmy karmiki dla ptaków. Uprawialiśmy szkolny ogródek i organizowaliśmy konkursy między klasami na najpiękniejszą grządkę. Sadziliśmy drzewa, sprzątaliśmy las.

Nauczyciele rozwijali w nas przedsiębiorczość. Działał sklepik uczniowski i Szkolna Kasa Oszczędności. Zbieraliśmy szklane butelki i makulaturę, pozyskując pieniądze z ich sprzedaży. Przygotowując się do wyboru zawodu, poznawaliśmy zakłady pracy oraz instytucje znajdujące się w okolicy: piekarnię, Bank Spółdzielczy w Chynowie, Ośrodek Zdrowia w Chynowie, Browar w Warce, Drwalewskie Zakłady Przemysłu Bioweterynaryjnego.

Mieliśmy sporo zajęć pozalekcyjnych: koło plastyczne, SKS, zbiórki harcerskie, zajęcia wyrównawcze; ci, którzy nie odrobili pracy domowej – kozę. Zimą nauczyciele i rodzice organizowali nam kuligi, wiosną – wycieczki. Odbływały się zabawy andrzejkowe, choinkowe, dyskoteki.

Żałuję, że uczyłam się WOS-u. Nauczycielka miała nad nami tę przewagę, że posiadała podręcznik, a my nie. Na jednej lekcji pisała obszerne notatki, na następnej robiła z nich sprawdzian. Takim sposobem zyskiwała ciszę i uważana była za dobrego pedagoga. Najbardziej podobały się nam jej zagraniczne sukienki i opalenizna. Nauczyciele zapewniali nas, że z trójką nie dostaniemy się do liceum. Wkuwałam na pamięć różne głupoty. Dziś pamiętam z tej całej nauki dwa pojęcia: Krajowa Rada Narodowa i ORMÓ.

Pewne zmiany zaczęłam dostrzegać w szkole od 1982 r., byłam wtedy w piątej klasie i podziwiałam modę starszych koleżanek. Wychowawczyni pochwaliła się nam, że krawcowa szyje dla jej córki długi żakiet z dwudziestoma sześcioma kieszeniami (inspiracja *Panem Kleksem?*), w którym Beata zamierza się wybrać na koncert rockowy do Warszawy. Każdy chciał mieć dzinsy. Zwężali je albo nosili *pumpy* jak żeglarz Sindbad. Największy łobuz, ku zgrozie ciała pedagogicznego, paradował po szkole z agrafką w uchu. Zimą na pracach technicznych z p. Małgosią dziewczyny dziergały na drutach modne wówczas *kominy*, które nosiły chętniej niż czapki.

Latem szyły spódnice z farbowanych pieluch tetrowych. Chłopcy mieli zajęcia z inspektorem w warsztacie stolarskim.

Żegnające szkołę ósmoklasistki, postanowiły zmodyfikować tradycyjny strój galowy. Założyły białe koszule, zielone krawaty, czarne spódnice, czarne rajstopy i białe tenisówki czeski. Było to oryginalne, ale na pamiątkowej fotografii wygląda komicznie a nawet żałośnie.

Z niecierpliwością czekaliśmy na prenumerowany przez nas *Płomyk*. Najważniejszy był w nim plakat: Robin Hooda, Bruce'a Lee, Modern Talking, Limahla czy innej gwiazdy z kapitalistycznego świata. Słyszeliśmy o koncertach w Jarocinie.

W 1983 r. Samorząd Szkolny postanowił przygotować nowoczesny program artystyczny z okazji Dnia Nauczyciela. Uczniowie przebierali się za pedagogów. Każdemu dedykowana była piosenka modnego polskiego zespołu: *Dżemu, Bajmu, Lombardu, Lady Pank*. Najwięcej śmiechu wywołała przebrana za „Sonię” Danusia, która śpiewała do pana Rysia:

Józek – nie daruję ci tej nocy!

W połowie zajęć 26 kwietnia 1986 r. oznajmiono nam, że nie możemy wychodzić na podwórko z powodu „czarnej chmury”. Najpierw myśleliśmy, że to spóźniony *prima aprilis*. Jednak nauczyciele okazywali coraz większe zdenerwowanie. Ktoś puścił plotkę, że zostaniemy w szkole na noc. Zaczęliśmy się martwić, że rodzice nie wiedzą, ale odczuwaliśmy niezwykle podniecenie. Danusia, której najlepiej się powodziło, bo była jedynaczką, wymknęła się ze szkoły i pojechała składakiem do domu po parówki. Mieliśmy je sprawiedliwie podzielić. Jednak nasze plany na noc uległy zmianie. Około godz. 15 podano nam jod i kazano iść do domu.

W czerwcu przychodził do szkoły pan „Ucinek” i robił pamiątkowe zdjęcia. Najefektowniej wychodziliśmy pod wysokim pochyłym modrzewiem, rosnącym przed szkołą. Ósme klasy szykowały się na bal: przygotowywały program artystyczny, dekorację, uczyły się tańczyć rzewnego poloneza Michała Ogińskiego, *Pożegnanie Ojczyzny*. Zbieraliśmy wpisy do pamiętników – swój zachowałam do dziś. Zawsze był płacz w dniu rozstania.

Tak jak w szkole nigdy potem ci nie będzie... – to prawda. Poznałam jeszcze kilka innych szkół: jako uczennica, studentka, nauczycielka, ale serce pozostało w tej pierwszej. Moje dzieci są trzecim pokoleniem, uczącym się w Chynowie. Czasami się dziwię, że mogą być szczęśliwe w szkole, która tak się zmieniła. One dziwią się moim opowieściom, nie rozumiejąc, czego tak żałuję.

Wysłałam w świat z przekonaniem, że dobry nauczyciel to ten, po którym nie trzeba brać korepetycji. Dziś szlag mnie trafia, jak patrzę na te wszystkie działania wokół ucznia: starania nadgorliwych mamusiek, pedagogów i psychologów. Wszyscy się starają, tylko nie sam uczeń (może to też sprawa biznesu rozkręcanego wokół słabego ucznia). Szlag mnie trafia, ale uśmiecham się z *uprzejmością kelnera*, bo zależy mi na robocie.